Nr 41. We Lwowie dnia 10. października 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

A imię jego czterdzieści i cztery.

W artykule pod powyższym tytułem, powtórzonym — dla osobliwości — w nr. 38. „Tygodnia“, p. Teodor Wierzbowski, zestawiając skrzętnie dotychczasowe objaśnienia zagadkowych słów wieszcza, pomija jedno z nich. Objaśnienie to mogło ujść uwagi nawet najpilniejszego badacza, nie figurowało ono bowiem jako odrębna całość, lecz zostało wplecione w treść powieści Włodzimierza Łuskiny p. t. „Wielki Rok“, (drukowanej w odcinku „Kurjera Lwowskiego“ z r 1892).

Hypoteza Łuskiny przeciwstawia się djametralnie rozumowaniom p. Wierzbowskiego. Malarz-poeta nie szuka słowa nęcącej zagadki w pyle aktów kancelaryjnych. On wie, że w chwili, gdy poeta „najsilniej wytęża duszy swej ramiona“ gdy duch jego bierze pióra i „wylatuje z planet i gwiazd kołowrotu“, — że w chwili takiej porządkowe numera urzędowych aktów nie mogą tkwić „świadomie“ w jego pamięci, nie mogą być osią uczućwichrów, gwiazd-myśli, które nawiewa, które zapala natchnienie. Łuskina wie o tem z własnego doświadczenia, — bo jeżeli słońca mają swoje promienie, to „i robaczek świętojański ma także swoje światło“, nie posługuje się też w czynionych poszukiwaniach „naukową, historyczno-krytyczną“ metodą p. Wierzbowskiego. Inaczej sobie poczyna: stara się wniknąć w bieg myśli poety, który stał na czele „Trybuny Ludów“, — przenika się uczuciami proroka, co wieścił światu, że „prawdziwa siła jest tylko między prostym ludem i w decydujących chwilach głos wyjdzie od niego“,*) — sięga w duszę wieszcza, któremu pieśń gminna o skrzydłach i mieczu archanioła kładła chryzmaty pierwszych natchnień na młodzieńcze czoło, — sięga w duszę wieszcza i jak nurek kosztowną perłę z otchłani morskiej, tak on wynosi z jej głębi przeświadczenie, że pod owem dziecięciem, które uszło rąk Heroda i urosło na obrońcę, na wskrzesiciela narodu, na namiestnika wolności, Mickiewicz rozumiał lud!

*) Z mowy Mickiewicza, wygłoszonej 9 marca. 1847 r.

Słowo znalezionej zagadki autor wkłada, w usta jednego z bohaterów powieści, Antosia młodego eutuzjasty, który zgromadzonemu w litewskim dworku towarzystwu uzasadnia je cyframi. Cyfrowe rozumowania Łuskiny tak wyglądają: litera *l* jest czternastą z koleji w naszym alfabecie, *u* dwudziestą piątą, *d* piątą, suma tych cyfr: 14+25+5=44.

Znalazłszy wyjaśnienie słów: „A imię jego czterdzieści i cztery“, autor tłumaczy dalsze określenie mistycznej istoty: „Z matki obcej; krew jego dawne bohatery“ — „Matką jego (tj. ludu) — pisze p, Łuskina — zdawien dawna była narzucona niewola, jemu, wolnemu przed Popielami i Piastami. Miecz obcy, teutoński wniósł pożogę w dziedziny Polan i wniósł przemoc, zmusił do obrony i odtąd kmieć wolny poszedł w poddaństwo i w niewolę u obcych grafów i swoich kneziów. I odtąd stał się dzieckiem tej obcej matki — niewoli, aż do dni naszych, w których dawną niewolę społeczną zamienił na polityczną, pod ciemnym despotyzmem obcych carów. Ale krew jego to ta sama krew bohaterska, która wydała szlachtę i rycerzy polskich, Bolesławów i Kazimierzów Wielkich, praprawnuków kołodzieja Piasta“.

Nie koniec na tem: „Czterdzieści i cztery znaczy: *duch* — *d*=5, *u*=25. *c*=4, *h*=10 — razem 44. Zatem Czterdzieści i Cztery znaczy: *lud-duch*. — To jest to dziecię ze krwi bohaterskiej i obcej matki-niewoli, które uszło z rąk Heroda, bo to silne niemowle nie chce Herod zaczepiać, a które wtenczas w całej swej gro-

zie i w całej potędze powstanie, kiedy wionie nań duch bohaterski, kiedy matka-niewola przestanie zakrywać mu oczy płachtą ciemnoty, a wionie nań duch odrodzenia obywatelskiego, duch oświaty, a z nim wielki duch patrjotyzmu, kiedy ów bohater zbiorowy wyrzecze, jak mocarz w wielkim majestacie swoim: „My, lud-duch“ — bo „my“ to także 44: $m=16$, $y=28$“.

Tyle autor „Wielkiego Roku“. Myśl jego, podobnie jak innych komentatorów, krąży niemal wyłącznie koło końcowego ustępu „Widzenia“. A jednak gdyby był sięgnął wyżej, znalazłby i tam wodę na swój młyn i to wodę, którąby była niewątpliwie lepszym od alfabetu motorem. Weźmijmy dla przykładu choćby liczbę trzy, stale się tu powtarzającą, a odpowiadającą trzem ludom, które wchodziły w skład Rzeczypospolitej: „Jako *trzy* słońca błyszczą jego trzy źrenice,“ — a dalej: „Mąż straszny ma trzy oblicza, On ma trzy czoła... Podnożem jego trzy stolice. Trzy końce świata drżą, gdy on woła... Na trzech stoi koronach, a sam bez korony“. Tezie p. Łuskiny nie sprzeciwia się chyba i to, że ów tajemniczy bohater z „Widzenia“ jest „Nad ludy i nad króle podniesiony“, że „życie jego — trud trudów, a tytuł jego lud ludów,“ — bo wielka zbiorowa istota: lud zaćmiewa swym ogromem i majestatem, siedzące na tronie jednostki, a Mickiewicz, patrząc na swój lud przez pryzmat najgorętszej miłości, wywyższał go w swem rozumieniu i sercu ponad wszystkie inne. Co zaś do określenia: „trud trudów,“ to nietylko przed zniesieniem u nas pańszczyzny i powstaniem fabrycznej produkcji, lecz i dziś jeszcze daje się ono zastosować z całą słusznością do trybu życia naszego ludu.

Objaśnienia autora „Wielkiego Roku“ to tylko hipoteza, jak wszystko co było dotąd i co może być jeszcze kiedyś w przyszłości powiedzianem w tej kwestji, ale kto wie, czy Mickiewicz był by położył swoje veto przeciwko takiemu komentowaniu „Widzenia“. Kto wie, czy poeta, który najwdzięczniejsze dziecię swego ducha, uroczą Zosię, w wiejskie stroił szaty, aby pozyskać dla niej względy Dąbrowskiego i Kniaziewicza, byłby czuł urazę za wcielenie fantastycznej swej kreacji w kształty Olbrzyma-Ludu? *M W.*

Przyczynki do biografji Ujejskiego.

(Dokończenie).

II.

Kochany Władysławie! Piszę na Twojem biurku, w Twojem pomieszkaniu, gdzie zaglądnąłem, chcąc Ciebie obaczyć, a dowiedziawszy się, że odjechałeś, sprowadziłem, za poprzedniem Twojem pozwoleniem, mój podróżny kuferek i zająłem plac.

Muszę ciebie przeprosić za bałamuctwo nie z mojej winy. Po ostatniem mojem widzeniu się z Tobą wróciwszy do Zubrzy, miałem na drugi dzień przysłać po Ciebie konie Tymczasem w drodze, zdaje się, przeziębiłem się, rozwielmożył się u mnie zacięty katar i położyłem się do łóżka, z którego ledwie po pięciu dniach podniosłem się. Napisałem jednak list, donosząc o tem, a ponieważ mój mleczarz nie grzeszy najmniejszym sprytem, kazałem mu list do Ciebie i jeszcze inny rzucić do skrzynki pocztowej.

Po wiadomości, że inny list nie doszedł adresata, mam pewność, że listy mój poczciwy Bazyli zgubił i nic mi o tem nie powiedział.

Zostałem napowrót wybrany jednogłośnie*), chociaż z mojej odpowiedzi na list wyborców**) wielu z nich nie było zadowolonych i nie przyjechało na wybory. Strona moja oddała za to dwadzieścia kilka głosów na mnie bez żadnego zastrzeżenia. Emil T. i Kornel M., do których w moim innym interesie miałeś się udawać, agitowali, jak mi mówiono, bardzo żarliwie przeciwko memu wyborowi, nie wypada więc w żaden sposób, abyś ich teraz zaczepiał. Byłoby to upokarzającem dla mnie. A jednak mam jakąś nadzieję, że przez swoją przyjaźń i wynikającą z niej gorliwość, znajdziesz jakąś radę dla mnie, bez czego byłbym bardzo spętany w moich robotach politycznych. Ha, jeśli trzeba ginąć, to zginę, ale nie ugnę się nikomu i w niczem, ani na włos — taka już moja natura.

Żałuję bardzo, żem Cię nie zastał we Lwowie. Mam odjeżdżać do Wiednia, a rata dzierżawna jeszcze nie zapłacona. Nie wiem, czy pukałeś do S. o złożenie dla mnie kaucji. Donieś mi jak najprędzej.

Nikogo dotąd nie zawiodłem, więc powinienem mieć niezachwiane uczciwego człowieka imię lichwiarskie procenta i długi płacę, — a o kredyt tańszy trudno mi! Wina zapewne moja, bo nie umiem korzystać z moich stosunków i tego nie nauczę się nigdy. Więc chyba mój ratunek u tych, którzy wiedzą o mojem przykrem położeniu i zechcą mówić i chodzić za mną

Dam wszelkie gwarancje, bo na to mnie stać, tylko niech inni mówią za mnie. Na pierwszem miejscu w takich sprawach kładę Cie-

*) Posłem do Rady państwa z okręgu Rohatyn-Bóbrka, kurja większej własności.

**) List wyborców, drukowany w »Dzienniku poznańskim« 18. X. 1878 Nr. 241. Odpowiedź Ujejskiego »Gazeta narodowa« 23. X. 1878 Nr. 241 i »Dziennik pol.« 22. 10. t. r. Nr. 244.

bie, mój drogi. Odpisz mi jak najprędzej głównie co się tyczy kaucji, bo bez tego ruszyć się nie mogę. Ściskam Cię serdecznie.

Kornel.

Adres: Ulica Pańska 3.

III.

Lwów, 3. grudnia 1880.
Plac Bernardyński 13.

Kochany Karolu! *) Dziś dopiero mogę Ci odpisać na Twój list, który zastał mnie w ciągu mego zupełnego wyprowadzania się z Zubrzy na stałe mieszkanie do Lwowa, tak, że do dnia dzisiejszego ani spokojnej chwili, ani spokojnego kąta nie miałem.

Straciłeś brata, a ja najserdeczniejszego przyjaciela — boleść nasza prawie równa. Ś. p. Władzio przez cały ubiegły rok za każdą bytnością we Lwowie był moim nieodstępnym towarzyszem. Obadwaj w kłopotach, radziliśmy sobie i pomagali wzajemnie; na parę tygodni przed okropną chwilą mieszkał ze mną to na wsi, to u mnie we Lwowie. Z mego pomieszkania odjechał na plac nieszczęśliwy. Przez parę dni przedtem traktowałem ze sekundantami przeciwnej strony, a raz ze samym przeciwnikiem, starając się o pojednanie. Napróżno. Sprawa nie była warta krwi rozlewu, a cóż dopiero życia! Pojedynku pałaszowego Władzio przyjąć nie mógł, bo dobrze nie władał ręką z powodu otrzymanego postrzału w r. 1863. Władzio i jego przeciwnik byli sekundantami w innej sprawie, która dotąd wisi nierozwiązana. W traktowaniu tej sprawy przyszło do wyzwania ze strony S......ego. Władzio odjeżdżając nie był spokojnym, mogło się zdawać, że złemu podlega przeczuciu. Ja przeciwnie, nie miałem żadnej obawy. Jakiż to grom padł na mnie po odczytaniu strasznego telegramu z Trembowli.**)

Kozłowski ***) to szkolny kolega i wypróbowany przyjaciel Władzia. Jak słyszałem dnia (?) było dosyć podczas pojedynku. O pistolety ciągniono losy. Strzelano na dwadzieścia kroków na komendę. Przy takich warunkach zwykle pojedynki kończą się nawet bez draśnięcia — a tu śmierć najlepszego, najszlachetniejszego... Trudno tu badać wolę Opatrzności.

Równocześnie z tym listem wyprawiam do Ciebie rzeczy, które Władzo zostawił u mnie, część była u mnie w Zubrzy, część w mojem pomieszkaniu we Lwowie. Są to rzeczy tylko do ubrania — żadnych papierów między niemi nie znalazłem. Mówił mi Władzio, że część swoich rzeczy ma w Słowicie u C...ów, także coś u C.....a we Lwowie.

Przyjmij, biedny mój bracie Karolu, wyraz serdecznej przyjaźni i najgłębszego współczucia. Twój *Kornel.*

J. A. Sierpniak.

---

*) Karol Wróblewski, młodszy brat Kazimierza i Władysława, obecnie już także nieżyjący (†1890).

**) Tam się odbył pojedynek. Wł. Wróblewski umarł w trzy kwadranse po otrzymaniu kuli d. 6. listopada 1880.

***) Sekundant Wł. Wróblewskiego.

Eliza Orzeszkowa.

LIŚĆ USCHŁY.

(Ciąg dalszy).

— Jednak — podchwycił — zawsze pożądać będziemy pięknych kobiet i zawsze prowadzić będziemy wściekle akcję dla osiągnięcia pożądanych celów. Ma pan rację, ale i ja mam ją także, bo po zwycięskiem ukończeniu akcji zawsze też będziemy przypominali sobie króla Salomona, nie tego, który miał siedemset żon, ale tego, który, mając siedemset żon, pisał Eklezjastę...

Tu jakby pożałował, że tak wiele powiedział albo znudził się mówieniem, szybkim ruchem podniósł i opuścił nad głową kapelusz.

— Żegnam pana — rzekł krótko, a ponieważ kilka osób ukazało się na korytarzu, więc z podniesioną głową i zwykłym sobie elastycznym krokiem, odszedł. Ale szybkiemu ruchowi ręki, podnoszącej i opuszczającej kapelusz, tudzież krótkiemu słowu pożegnania towarzyszyło pewne wygięcie w bok szyji, pewne wydłużenie się i postarzenie twarzy, pewien rzut oka skośny i szybki, które nic innego oznaczać nie mogły, jak apatyczne znużenie, głuchą złość i nadewszystko zimne, ckliwe, nudne niezadowolenie.

W salonach, do których wspólnieśmy uczęszczali, zajdowała się zawsze spora ilość ekscelencji obu płci. Ma się rozumieć żony zupełnie, a w pewnym stopniu i córki ekscelencyj męskich, były żeńskiemi ekscelencjami, a grupa ta, jak wszystkie grupy ludzkie, zawierała w sobie jednostki piękne i szpetne, miłe i niemiłe. Na jedną z tych żeńskich ekscelencji wskazywać zaczęto, jako na cel matrymonialnych starań Garskiego. Gdyby Ossę zwalić na Pelion, jeszczeby ich wysokość nie dorównała wysokości, na której znajdował się jej ojciec, tak, że na pozór można było w tym wypadku posądzić Garskiego o ideologję. Ale wiedział on dobrze, co czynił. Ona była trzydziestoletnią ekscelencją, grubą w pasie i za-

nadto czerwoną na twarzy; on był „człowiekiem przyszłości“. Sprawdził potem tę przepowiednię, ale dla łatwiejszego jej sprawdzenia, małżeństwo to przedstawiało środek pomocniczy, co się zowie. To też widziałem, jak robił do niej swoje najpiękniejsze liryczne oczy, a słowa i zdania jej ojca chłonął oczyma, jak balsamy.

Stało się. Cała stolica wkrótce mówiła o zaręczynach Garskiego z córką bardzo wysokiej ekscelencji. Podziwiano, zazdroszczono, winszowano. Ja także podziwiałem, zazdrościłem, winszowałem. Prawdę mówiąc, djabli mię brali na myśl, że sam nigdy tak daleko, jak on, nie zajdę; gdzietam! lecz z drugiej strony ceniłem wielce dość poufałe stosunki z człowiekiem, który, dziś będąc siłą, jutro najpewniej będzie potencją.

Nie należy przesadzać poufałości tych stosunków; nie patrzyliśmy sobie duszą w duszę i żaden z nas nie wskoczyłby za drugiego w ogień, ani w wodę. Owszem, przypuszczam, że z łatwością moglibyśmy skoczyć sobie do oczu, gdyby przypadkiem znalazła się pomiędzy nami, nie przymierzając, kość do ogryzienia. Ale pochodziliśmy prawie z jednych okolic, Garski znał trochę moich krewnych, ja jego, a chociaż nie tęskniliśmy wcale ani do okolic, ani do krewnych, tworzyło to pomiędzy nami jakiś łącznik, dla nas samych nie bardzo zrozumiały. Przytem my tylko dwaj wiedzieliśmy nawzajem o swoich pierwszych początkach, więc mnie, jak mnie, bo do niczego tak bardzo osobliwego nie doszedłem, ale Garskiemu przyjemnie być musiało popisać się czasem przedemną: „Oto, co miałem, a co mam! Skąd wyszedłem, a gdzie zajdę!“ Nieraz spostrzegłem, że spotyka mię nie bez przyjemności, że więcej wypowiada się przedemną, niż przed innymi, a raz odkryłem, że nieproszony, sam przez się i nic o tem nie mówiąc, oddał mi dość ważną przysługę. Kiedym mu za nią dziękował, skinął niedbale ręką.

— Co tam! Cóż dziwnego? Swój swemu...

I zaraz poprawił się ze śmiechem:

— Ręka rękę myje, kochany panie; rzuć za siebie, znajdziesz przed sobą. Czy ja wiem? Może mi pan kiedy przydasz się na co...

Tak, że zostałem w niepewności, czy okazał mi dobroć dlatego, że mię lubił, czy też był to werbunek klientów do tworzenia orszaku, oklaskiwania mów i kiereszowania wrogów patrona. Ale mało o to dbałem. Z przysługi, którą mi oddał, odniosłem znaczną korzyść. Reszta — do lamusu!

II.

Czy zwiedzaliście już państwo nasz piękny Prater w czasie świątecznych popołudniowych przejażdżek? Nie? Czasu jeszcze nie było! Cóż powiem? Jest to baśń, widowisko, wywołane różdżką czarnoksiężnika, urzeczywistnienie marzeń Nababa i zarazem Dafnisa z sielanki. Nie jestem poetą; nie będę więc zdolnym przedstawić dość barwnie i plastycznie tych dwóch nieskończonych szeregów kół, koni i ludzi, które przez długie godziny nieustannie dążą w dwie przeciwne strony po drodze nieścigrionej okiem. Ile jest na świecie różnych form powozów, wszystkie tam są: ile jest na świecie różnych ras końskich, wszystkie tam są; ile jest na świecie różnych rodzajów piekności kobiecych, wszystkie tam są; ile jest na świecie różnych elegancji spacerowych, wszystkie tam są. Jak w dwóch poważnie płynących rzekach, wzrok tonie w dwóch zwolna sunących szpalerach błyszczących politur, kolorowych mitr, herbów, monogramów, końskich grzyw i wygiętych karków, świecących liberji, różnobarwnych pluszów i atłasów, różnoplemiennych, odświętnych, w odświętną oprawę ujętych twarzy ludzkich.

Wszystko to, obliczone na pieniądze, przedstawia miljony, a z estetycznego punktu jest mozaiką, ułożoną z mnóstwa wyszukanych szczegółów i rozciętą dwoma ruchomemi pasami na tle turkotu bardzo przytłumionego, bardzo monotonnego i połączonego tylko z przytłumionym i bardzo miarowym tententem kopyt końskich.

Tyle dla Nababa.

A dla Dafnisa?

Nie jestem poetą; ale pamiętam, że dnia tego, za jedną ścianą lasu, który stoi z obu stron drogi, wznosił się wielki, miedziano-czerwony obłok i pożarowemi blaskami nalewał pękate tułowia chmur, sunących nad ścianą lasu przeciwległą. Pamiętam jeszcze, że tam, gdzie iglaste drzewa ustępowały przed liściastemi, rozpościerały się na krwistem tle szmaty czarnych koronek, utworzonych z bezlistnych gałęzi, i to jeszcze, że w stronie lasu, stojącej pod chmurami panował lekki zmrok, pobielony mgiełkami, wałęsającemi się po ziemi, świeżo zroszonej deszczem.

Czy zauważyliście kiedy, kochani państwo, że zmartwienie czyni człowieka w sposób szczególny czułym na piękność natury? Kiedy jesteśmy zadowoleni i weseli, do djabła odesłalibyśmy tego, ktoby nam chciał pokazywać obłoczek, mgiełkę, rzeczułkę, trawkę; wolimy wtedy w miłej kompanji ludzkiej używać życia i popisywać się przed mniej szczęśliwymi ze swojem szczęściem. Ale niechże fortuna, ludzie, choroba, śmierć lub cokolwiek innego wytnie nam tęgo po łbie lub choćby po nosie, wtedy coprędzej do matki natury na rańtuch i w czułości! jakie piękne, samotne, ciche są twoje obłoczki, mgiełki, rzeczułki i trawki! Wychodzi to na sprawdzanie się przysłowia: kiedy trwoga to do Boga!

Uwaga ta nie jest, broń Boże! wdawaniem się w filozofję, ale tylko wynikiem osobistego doświadczenia. W owym dniu świątecznego spaceru Wiedeńczyków, o którym mówię, czułem się w bardzo złym humorze. Aż dwa interesy naraz szkaradnie mi się nie powiodły; człowiek, na którego liczyłem, jak na Czarnego Zawiszę zawiódł mię na punkcie najboleśniejszym, bo finansowym. Przytem, własnego kawalerskiego zaprzęgu jeszcze mieć nie mogłem, wynajętym jeździć nie chciałem, więc dla ruchu, w nadzieji rozrywki, poszedłem na Prater i szedłem czas jakiś brzegiem lasu, zmieszany na szerokim chodniku z tłumem pospólstwa, ciągnącego szaremi strumykami po obu stronach świetnych rzek, które toczyły się wielką drogą.

Wkrótce zaczęło mi tam być ciasno i smutno i nudno. Uczułem się upokorzonym, ubogim, skrzywdzonym sierotą i — buch! na łono natury.

Wszedłem do lasu.

O takiej porze nikogo nigdy niema w lesie, wszystko, co żyje, albo jeździ po drodze, albo, przechadzając się, gapi się na jeżdżących. Nawet drobne mieszczaństwo, z gromadami dzieci i koszami pełnemi jadła, wyłazi na łączki, mające otwarty widok na drogę, i gwarząc, jedząc, przygląda się wspaniałościom nababowym. Szedłem więc czas jakiś pomiędzy drzewami zupełnie sam jeden.

(C. d. n.)

Prasa poznańska.

(Dokończenie).

Dzieje naszej polityki ugodowej powinny nas były nauczyć, co sądzić o powadze cesarza Wilhelma i jego dla nas sympatjach. Przecież i p. Kościelski też nie robił nic innego tylko c h o d z i ł d o k r ó l a, z jakim skutkiem, wiemy wszyscy. Właściwie, gdyby „Goniec Wki" — umiał do obecnych zmienionych warunków swój dawny program przystosować, miałby teraz wolne pole do rozwinięcia dodatniej działalności wobec bankructwa polityki ugodowej, że jednak tego nie czyni, więc wciąż traci na wpływie i znaczeniu.

Natomiast z dniem każdym wzmaga się wpływ O r ę d o w n i k a. O programie tego pisma obszernie się rozwodzić nie będziemy, gdyż jestto program ruchu ludowego, któremu „Tydzień" osobny artykuł przed niedawnym czasem poświęcił. Pod względem technicznym, jestto najlepiej dziś w Poznaniu redagowane pismo, jeśli uwzględnimy jego wyłącznie dziennikarski, nie literacki charakter. Kierunek jego spoczywa w ręku najbardziej rutynowanego z poznańskich redaktorów i to mu daje wielką przewagę. Prócz doświadczenia posiada dr. Szymański jeszcze dużo konsekwencji i zręczności. Umie każdy fakt, każdą okoliczność dla swoich celów wyzyskać, nie przeoczy żadnej sprawy, posiadającej dla jego kierunku znaczenie, nie pomija żadnej sposobności do rozwinięcia swego programu. Pismu temu zarzucić można zresztą to wszystko, co się wogóle o pismach poznańskich mówiło, tj. jednostronność, brak urozmaiconej i kształcącej treści, zupełne pomijanie działu literackiego itp. Jestto wyłącznie polityczne, agitacyjne pismo — ale jako takie odpowiada w zupełności swemu zadaniu.

W koło tych kilku głównych organów grupuje się pewna ilość pism drobniejszych rozmiarami i znaczeniem. „W i e l k o p o l a n i n" jest pisemkiem ludowem, służącem do ropowszechnienia wśród szerokich warstw poglądów „Dziennika Pozn." i wpajania w lud bezgranicznej ufności we wszechwiedzę, doskonałość, nieomylność surdutowców. „Postęp" służy kierunkowi ruchu ludowego, a jedyną jego samodzielną cechę stanowi antysemityzm, połączony z takim katolickim ferworem, że samego arcybiskupa pobożności uczy. Mimo to, a może właśnie dlatego należy wraz z „Orędownikiem" do kategorji pism, bojkotowanych przez ambonę i konfesjonał. Nakładem arcybiskupa wydawany „Przewodnik katolicki", jestto 50 fenygowy organ, zaspakajający duchowe potrzeby maluczkich, propagujący politykę tumską i specjalnie poznańską pobożność. Można w nim czasem czytać takie zdania: „św. Jolanta pochodziła z tak wysokiego rodu, że się z niego słusznie przed Bogiem i przed ludźmi szczycić mogła". Podobnych nonsensów znajduje się tam najmniej 5—6 w każdym numerze.

„Dziennik kujawski", wydawany w Inowrocławiu i „Lech" w Gnieźnie służą do propagowania dążności „Kurjera poznańskiego", podobnież i inne prowincjonalne pisemka stanowią odbicie tego lub owego z poznańskich organów.

Nie wiem, czy warto wspominać o „Pracy" założonej przed rokiem jako tygodnik, a po kilku miesiącach na dziennik zamienionej. Pismo to, mające na celu popieranie interesów przemysłu i handlu — nie jest jednak pismem specjalnem, lecz politykę, literaturę, sprawy społeczne równie gorliwie i równie nieudolnie obrabia. Zasadą jego jest nie mieć żadnych przekonań, lecz nadsłuchiwać, co mówi ogół, odpowiednio do tego pisać. Zasadę tę wyznaje zupełnie otwarcie i zupełnie otwarcie również oznajmia, iż jedynem jego dążeniem jest zdobycie jaknajwiększej ilości prenumeratorów! Pod względem naiwności pojęć, ignorancji, błę-

dów logicznych, stylowych, gramatycznych i ortograficznych „Praca" przewyższyła wszystko to, co do obecnego czasu drukowanem było w Poznaniu.

Jeśli dodamy kilka wydawnictw specjalnych, jak „Nowiny lekarskie", „Ziemianin", „Przewodnik gospodarczy" itp. — będziemy już mieli kompletny obraz prasy poznańskiej.

Przed trzema laty pojawił się wśród tej rozpaczliwej literackiej posuchy „Przegląd poznański", witany radośnie przez garstkę zdrowo myślącej inteligencji, jako zapowiedź nowego umysłowego ruchu. Była to po wielu latach pierwsza próba wydawania pisma literacko-naukowo-społecznego, odpowiadającego nie poznańskim specjalnie, lecz ucywilizowanym, europejskim pojęciom. Pod względem literackim „Przegląd poznański" wznosił się o całe niebo ponad przeciętne miejscowe publikacje; pod względem politycznym nosił czysto narodowe barwy, był antyugodowym, miał demokratyczny i liberalny charakter. Wszystko to było prawdziwą w Poznaniu osobliwością, w oczach ogółu przeciętnego dziwolągiem, budzącym nieufność i pobożne zgorszenie. „Przegląd" odegrał w prasie poznańskiej tę samą rolę, co w bajce Andersena łabędź między kaczkami i takiego samego doznawał losu. Może po tem wszystkiem, co mówiłam na wstępie, zbytecznem byłoby wyjaśniać, dlaczego „Przegląd poznański" utrzymać się nie mógł, jednakże dodam jeszcze parę informacji, które dokładniej sytuację oświetlą. Ci co zakładali nowe pismo, szukali dla niego przedewszystkiem materjalnej podstawy, usiłowali więc wciągnąć do swego grona jaknajwiększą liczbę akcjonarjuszy, którzyby się zobowiązali je subwencjonować. Zdołali też zgromadzić blizko stu udziałowców, co zapewniło „Przeglądowi" do dyspozycji kapitał 20.000 mk. dla założenia pisma tygodniowego wystarczający. Mało kto jednak z tego licznego grona zdawał sobie jasno sprawę z celu nowego wydawnictwa, a raczej każdy wyobrażał go sobie na swój sposób. Jedni pragnęli wkoło nowego organu skupić inteligencją miejską, zorganizować ją, wytworzyć z niej liberalno demokratyczną — a zarazem patrjotyczną partję, innym chodziło wyłącznie o stworzenie lokalnego tygodnika dla honoru domu, aby nikt nie mógł powiedzieć, że w Poznaniu literatury niema. Gdy jeden spodziewał się, że „Przegląd" zwalczać będzie „Kurjera", a popierać ruch ludowy, drugi przeciwnie widział w nim broń przeciw „Orędownikowi", a trzeci chciał z niego zrobić organ słowianofilski. Byli i tacy, co pragnęli w nim widzieć cudotwórcę, który godzi wszystkie partje między sobą, lub potęgę, unoszącą się ponad partjami i wymierzającą im sprawiedliwość. Miał to być dla innych rodzaj polskiej „Gartenlaube" familijnego, skromnego pisemka, stojącego na poziomie np. „Biesiady literackiej" — a słyszałam i takie zdanie, że „Przegląd poznański" powinien być bezwzględnie katolickim*) zarazem. Ponieważ ta rozmaitość dążeń objawiała się nietylko w licznem kole udziałowców, lecz i w ściślejszej grupie inicjatorów nowego wydawnictwa, więc naturalnie całe przedsięwzięcie zbudowanem było na piasku i każdy numer „Przeglądu poznańskiego" przynosił to temu to owemu grube rozczarowania.. — Stopniowo zaczęli się akcjonarjusze usuwać i uchylać od swych obowiązków, wynikały nieporozumienia, których nic złagodzić nie mogło, bo miały źródło głębokie w fałszywej od początku sytuacji. Radakcja dorywczo robiła to w tę to w ową stronę ustępstwa i powtórzyły się dzieje podróży młynarza, który z synem i osłem na jarmark się wybrał. Słusznie mówi wschodnie przysłowie: Czterech rzeczy mędrzec nie pragnie: losu gwałcić, nieprzyjaciół pytać o radę, prawdy zmieniać i wszystkich zadowalniać — „Przegląd poznański" wprawdzie losu nie gwałcił i prawdy nie zmieniał, ale próbował wszystkich zadawalniać, a czasem i nieprzyjaciół o radę pytał. To jest, sądzę, jedyny poważny zarzut, który redakcji tego pisma uczynić można, zresztą odnosi się on przeważnie do tego okresu jego dziejów, w którym byt jego był już zakwestjonowany. Naturalnie przy ścisłem przeglądaniu jego roczników znalazłoby się niewątpliwie tę lub ową usterkę, wytykanie ich jest jednak dziś już rzeczą spóźnioną i bezcelową. Ze wszystkiemi swemi błędami nawet — „Przegląd poznański" był tak niezwykłem, dodatniem zjawiskiem na wyjałowionej wielkopolskiej niwie, że bądź co bądź upadek jego opłakiwać można. Czy wobec stosunków tamtejszych najdoskonalej prowadzone pismo tego rodzaju byłoby się mogło utrzymać, jest rzeczą bardzo — a bardzo wątpliwą, nie można się też spodziewać, aby dziś po upadku „Przeglądu pozn.", znalazło się jeszcze w inteligencji miejscowej dosyć odwagi do ponowiania próby. Człowiek, któryby się na tę niebezpieczną drogę puścił, któryby na niej wytrwał, konsekwetnie, niezłomnie zadanie swe spełniał, dałby dowody niemałego bohaterstwa i niewątpliwie zdobyłby wieniec męczeński. Nic dziwnego, że o amatorów do tej roli trudno

Na długo więc prawdopodobnie zawisły nad Poznaniem ciemności egipskie i będzie on w gmachu naszej narodowej kultury taką suterenę umysłową, w której brak światła; i powietrza, a atmosferę przenika niemiła woń stęchlizny.

J. Moszczeńska

---

*) i bezwzględnie liberalnym.

Z ZAPADŁYCH KĄTÓW.

NOTATKI WAKACYJNE.

(Ciąg dalszy).

Zaraz od strony Brzeżan tuż u wjazdu do miasta, uderza obcego widok wysokiej nadzwyczaj stromej góry, która przypominając kształtem gigantyczną stertę siana, stoi zupełnie odosobniona od ciągnących się opodal pasm górzystych, jakgdyby ją ręka ludzka usypała. Jestto „Czartowa góra", źródło i oś przeważnej części baśni i opowiadań fantastycznych, krążących wśród okolicznych włościan. „Czartową" zwie się ta góra dlatego, że raz jego czartowska mość, pan piekieł i podziemia, rozgniewany na tak ważny i poważny gród jak Rohatyn, wydarł pazurem olbrzymią bryłę ziemi i niósł ją, aby miasto zasypać. Na szczęście w chwili, kiedy już był blisko, zapiał poczciwy kogut, a czart rzuciwszy grudę, zniknął. O jakie pół mili od góry pokazują nawet głęboki parów, w którym fantazja ludowa dopatruje się śladu pazurów czarcich.

Kiedy przejeżdżającemu nocą koło „Czartowej góry" zamajaczeje w mroku czasem sylwetka pasącego się konia, niechaj nie myśli, że to zabłąkana z pobliskich „Kuciec" włościańska szkapa! Niechaj zapyta się powożącego chłopa, który w tej chwili żegna się pobożnie i z widocznym przestrachem zacina konięta, a dowie się, że to sławny „czarny koń", który nocą wychodzi pod „Czartową górę" wodzić ludzi po manowcach. Za takiem lichem, jak się do kogo przyczepi, można jeździć do samego rana, aż o świcie przekona się człowiek, że się kręcił w miejscu, dokoła góry.

Zdarza się czasem, że „Czartowa góra" przybiera odmienne, złudne kształty, na omanienie podróżnych. Szedł raz sobie naprzykład grajek wioskowy. Wesoło mu było, bo chociaż tylko źli ludzie mogli twierdzić, że sobie podpił w ostatniej karczmie, ale jakoś jasny blask księżyca tak go rezolutnie usposabiał, że przemierzał co chwila na poprzek gościniec, to w prawo, to w lewo. Idzie, zdaje mu się, że blizko już jest Rohatyna, aż tu patrzy przy drodze stoi wspaniały pałac, z którego okien bije łuna światła i dolatują odgłosy wesołej zabawy ale — bez muzyki. Mądry grajek zaraz pomyślał sobie, że tu można coś zarobić. Wszedł do pałacu i począł zebranemu tam państwu przygrywać do tańca. Gra więc i gra, a co która para tańcząca koło niego przeleci rzuca mu na podołek złote i srebrne pieniądze. Wtem zapiał kogut. W jednej chwili znikł pałac, znikły tańczące pary, grajek spostrzegł, że siedzi sam na szczycie „Czartowej góry", gra na skrzypcach samotnemu jak on księżycowi, a wiatr z podołka unosi mu marne wióry — a nie żadne pieniądze.

Kto wie jednak, czy nie mają słuszności, ci którzy w okraszonej podaniami górze upatrują dzieło rąk ludzkich, kopiec, co służył do zapalania smolnych wici, zwiastujących okolicy, o zbliżaniu się Tatarów. Świadczyłoby o tem położenie „Czartowej góry", która umieszczona w zbiegu kilku wąwozów, ma daleki przegląd okolicy. Z jednej tylko strony pasmo wzgórz zasłania widok, lecz „Czartową górę", usypano tak wysoko, że i w tę stronę ponad ich szczyt daleko ku Bursztynowi zaziera.

Kiedy się już wjedzie w przedmieście Rohatyna t. zw. „Babińce", po lewej stronie na dość malowniczej górze spostrzegamy drewnianą, staruchną, a w drzewach ukrytą cerkiewkę św. Mikołaja. Godna ona widzenia dla klasycznych swoją brzydotą i naiwnością malowideł. Jest tam np. pod krużgankiem, otaczającym cerkiew, obraz olejny na desce, przedstawiający oblężenie jakiegoś klasztoru przez Tatarów. Na murach stoją czerńcy w długich szatach, strzelają z armat, z których wylatują sznurkiem, jak perły kule, znacznie grubsze, niż otwory strzelnicze. A która z nich dopadnie Tatara, niezadowala się tem, że go zabije, ale jak bańka przez cyrulika postawiona siedzi na piersiach trupa.

Sławniejszą jednak jest cerkiewka św. Mikołaja podaniem, że jej plebanja, dziś nieistniejąca, była miejscem pochodzenia słynnej Roksolany, przecudnej córki proboszcza tej właśnie cerkwi, która porwana w niewolę turecką, potrafiła ujarzmić swoich panów i została sułtanką.

Przerzuciwszy się w drugi koniec miasta aż poza młynówkę Gniłej Lipy, spotykasz drugi podobny zabytek, równie drewnianą i równie może starą cerkiewkę Św. Ducha.

Malowidła, również i tu porozwieszane na wielkich drewnianych tablicach pod krużgankami cerkiewnymi jeszcze są bardziej zajmujące naiwnym symbolizmem i drewnianą sztywnością kształtów, które nadają się wybornie do naśladowania dla chorego malarstwa różnych pp. Wyspiańskich i innych pozujących na przesadną prostotę „mistrzów". Są tam np. tablice przedstawiające niebo, ziemię i piekło. Niebo naturalnie znajduje się na pierwszem piątrze, a święci znajdujący się w niem widocznie noszą ślady męczeństwa, żaden bowiem z członków ich ciała nie jest na swojem miejscu tak są powykręcane. Z nieba schodzą aniołowie z aureolami niewiadomo dlaczego czarnemi, (może który z symbolistów to wytłumaczy), po schodach o takiej konstrukcji, że gdyby je postawił pierwszy lepszy budowniczy

w jakiejś kamienicy lwowskiej, urząd budowniczy zamknął by mu kamienicę, a twórcę jej pociągnął do karnej odpowiedzialności. Z ziemi drogą, czy też otchłanią mającą najwyraźniejszy kształt szynki, dostają się dusze potępione do piekła, gdzie cierpią najwymyślniejsze, z naiwną plastyką przedstawione męki.

(Ciąg dalszy nast).

Przegląd pism.

»Życie«, tygodnik il. lit. art. nauk. i społeczny.

Dwa pierwsze numery tego pisma, które się już ukazały w druku, sprawiają dobre wrażenie. Z artykułów, w wykwintnej formie podanych, bije nieokreślony jakiś czar, — czar wiosennego poranku. Oryginalność poglądów, śmiały polot myśli, szczere uczucia, oto cechy prac tu umieszczonych, — cechy, właściwe młodości. Młodem też naprawdę jest grono literatów i artystów, grupujących się koło tego pisma. Nie mają oni prawie swego wczoraj, ale za to żyją pełnią dnia dzisiejszego, z palącą niecierpliwością wyglądają królewskich darów, które im jutro przyniesie i z zuchwałem poczuciem siły pragną »z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe!"

Pierwsze numery nie dały jeszcze czytelnikom wszystkiego, co zapowiada tytuł pisma. Niema tu poważniejszych prac z zakresu nauk ścisłych, przyrodniczych lub społecznych. Natomiast literatura i sztuka zagarnęły barwną, szeleszczącą szatą miejsce dla tamtych »mądrych panien« przeznaczone. Omawiają się na szpaltach pisma nowe książki, sztuki teatralne, pomniki, »salony«, — są tu przekłady z obcych »najmłodszych« powieściopisarzy, — jest poezja. Tej ostatniej nie mało, zaraz znać, że naczelny redaktor w ścisłej pozostaje z Muzą zażyłości. Marja Konopnicka rzuciła na pierwszą kartę pisma kilka pysznych fragmentów z cyklu »Życie«, — Miriam wyśpiewał tęskną balladę na cześć magicznych oczu gwiazd, Tetmajer rozpoczął w odcinku druk większego poematu, zabarwionego zlekka sarkazmem Bieniowskiego, — A. M-ski nadesłał od puszcz litewskich skargę silnego, co czuje w sobie moc do zerwania pęt, — a Ludwik Szczepański zadzwonił Ujejskiemu »na sen i nieśmiertelność« takim oto hymnem:

A ty mu teraz dzwoń a dzwoń,
Harmonji złoty dzwonie!
Przebrzmiała pieśń, ostatnia pieśń
W śpiewaków bożych gronie.

I spoczął, który w duszy miał
Proroczy żar i dzielność —
A ty mu, złoty dzwonie, dzwoń
Na sen i nieśmiertelność.

* * *

Dokoła niego zamęt burz
I szum dziejowych wirów,
Dokoła niego krew i kurz
I mrok żałobnych kirów.

A drogą mu: podniebny szlak,
A światłem: serca żary,
A w ręku błyskał miecz i znak
Płomiennej dawnej wiary.

* * *

I znów na zgliszczach zabrzmiał śpiew,
W spiżową rozdźwiękł burzę, —
Bezmierny ból, i srom, i gniew,
W królewskiej krwi purpurze.

Jak libijskiego poryk lwa,
Zraniona pieśń zagrzmiała,
Paląca — jako krwawa łza,
I korna — i wspaniała...

* * *

Przebrzmiała pieśń, ostatnia pieśń
W proroków świętym tonie —
A ty jej teraz dzwoń a dzwoń
Harmonji złoty dzwonie!

I spoczął, który w duszy miał
I wieszczy żar i dzielność —
A ty mu, złoty dzwonie, dzwoń
Na sen i nieśmiertelność.

Po poezji — słówko prozą, jak — w życiu. Znamienny rys »Życia« stanowi uwielbienie, którem jego współpracownicy przejęci są dla siebie wzajemnie. Dalecy od żółtookiej zawiści, żywią oni jedni dla drugich — jak niegdyś młodzi romantycy, — szczery podziw i najgłębiej są przekonani, że takiej miary poetów, takich artystów, jak w ich gronie, daremnie byś, człecze szukał gdzieindziej po świecie bożym. — Rys to tyle sympatyczny, ile rzadki.

M. W.

Z drukarni Z. Golloba.